

Artur Przybyśławski

Wywiad z Paulem de Manem przeprowadzony przez Stefano Rosso

Sztuka i Filozofia 2223, 5-13

2003

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

I. Hermeneutyka radykalna i dekonstrukcja

Artur Przybysławski

WYWIAD Z PAULEM DE MANEM PRZEPROWADZONY PRZEZ STEFANO ROSSO¹

Wywiadu tego udzielił de Man 4 marca 1983 roku po ostatnim wystąpieniu z cyklu „Messenger Lectures” na Cornell University. Wykład przeprowadzony na zlecenie RAI (Włoska Stacja Państwowa) nadany został we Włoszech 1 czerwca 1983 roku. Paul de Man zgodził się mówić w sposób możliwie „przystępny”, skoro miał być rozumiany przez zwykłych słuchaczy, a nie przez profesjonalnych czytelników. Zdecydowałem się pozostawić tekst w jego pierwotnej formie, aby nie tracić jego mówionej „szorstkości”. Włoski przekład części tego tekstu ukazał się w *Alfabet* 58 (marzec 1984), s. 12. Pragnę podziękować Raffaellowi Siniscalco z korporacji RAI za zgodę na druk tego tekstu, a Christopherowi Fynskowi i Davidowi Randallowi za ich pomoc w przygotowaniu wywiadu. W szczególności podziękowania składam Guiseppie Mazotcie, który przekonał de Mana do udzielenia mi tego wywiadu, i Philipowi Lewisowi, który zostawił nam do dyspozycji swoje biuro.

Stefano Rosso

Rosso: Kształcił się Pan w Europie, zaś nauczał Pan zarówno w Europie, jak i w Stanach Zjednoczonych. Jak doświadczenie to wpłynęło na Pańskie rozumienie „pedagogiki”?

de Man: Przez ostatnie trzydzieści lat uczę w Stanach Zjednoczonych i jest to dla mnie doświadczenie tak oczywiste, że dotychczas się nad nim zbytnio nie zastanawiałem. Uświadomiłem sobie jego specyfikę na skutek tego, że przez jakiś czas uczyłem na przemian na uniwersytetach w Zurichu oraz Cornell i Hopkins. Miałem przeto możliwość czynienia porównań między nauczaniem w Europie i tutaj. W Europie znacznie bliższe człowiekowi są oczywiście kwestie ideologiczne i polityczne, podczas gdy w Stanach przeciwnie, na pierwszym miejscu stawiane są kwestie zawodowe. Toteż bardzo różnią się także reguły rządzące upra-

¹ Stefano Rosso, „An Interview with Paul de Man”, *Nuova Corrente* XXXI (1984), s. 303–313; później przedrukowany w: Paul de Man, *The Resistance to Theory*, Minneapolis: University of Minnesota Press 1986, s. 115–121 [przyp. tłum.].

wianiem tego zawodu. W Europie trudność sprawiało mi to, by do studentów – z których większość miała uczyć w szkołach średnich – mówić o rzeczach faktycznie odległych od praktyki zawodowej w sposób umożliwiający praktyczne ich wykorzystanie. A zatem to, o czym mówiło się na wykładach, faktycznie rozmiętało się z ewentualną wartością użytkową, jaką przedmiot wykładany miał przedstawiać dla studentów. Budziło to więc we mnie bardzo szczególnie uczucie alienacji. Czułem się zupełnie inaczej niż tutaj, gdzie uczymy swoich przyszłych kolegów, a potem jesteśmy z nimi w bardzo bezpośredniej relacji zawodowej, mającej własną ideologię i własną politykę, będącą w dużej mierze polityką przypisaną do zawodu, wynikającą z relacji zachodzących między pozycją nauczyciela akademickiego a amerykańskim światem polityki i społeczeństwa. Ostatecznie uznałem więc funkcję nauczycielską w Stanach – funkcję nauczyciela akademickiego, a nie funkcję akademicką – za znacznie bardziej satysfakcjonującą właśnie z uwagi na ów kontakt, jaki ma się tu z ludźmi, których się uczy. Tutaj rzeczywiście można się wywiązać z zawieranej z nimi umowy, podczas gdy w Europie jest to raczej niemożliwe. Mamy tam do czynienia z dziwnym rozdzieleniem na dwa całkowicie różne poziomy [relacji]. Ilustruje to fakt, że tam stoi się na katedrze i od studentów dzieli cię przepaść, podczas gdy tu siedzi się przy jednym stole. W tej ideologicznej sytuacji w Europie odnajduję złą wiarę znacznie bardziej niż tutaj. Tutaj wydaje się to być nieco bardziej szczerze, choć z pewnością problem polityczny przeniesiony zostaje na relację między sferą „akademicką” a społeczeństwem w ogóle. Łatwiej mi było radzić sobie z tym tutaj, niż sprostać temu, co spotyka się w Europie...

Rosso: Jak wyjaśni Pan sukces dzieła Derridy, a bardziej ogólnie dekonstrukcji w akademickim świecie amerykańskim?

de Man: Myślę, że sukces Derridy (trzeba tu zastrzec, sukces względny) polega częściowo na tym, że w przeciwieństwie do większości krytyków francuskich w pracy trzyma się on bardzo blisko tekstów, czyta bardzo uważnie, a zarówno amerykańscy nauczyciele, jak i studenci literatury lepiej są przygotowani do takiego obcowania z tekstami niż Europejczycy. Powodem tego są rygory dyktowane przez Nową Krytykę i bliskie trzymanie się tekstów [*close reading*]. U Derridy jest coś bardziej znajomego, ale i z drugiej strony znacznie bardziej ekscytującego od pewnych stosowanych tu technik, tak że Derridiańska ścisła praca [*close working*] z konkretnym tekstem jest czymś, co sprawia, że staje się on dla amerykań-

skiej publiczności z pewnością łatwiejszy w odbiorze zarówno w sensie pozytywnym – to znaczy w tym, że inni mogą kontynuować jego dzieło – jak i w sensie negatywnym – o tyle, o ile za sprawą koncentracji na tekstach i na pewnym względnie tradycyjnym kanonie tekstów może on, a wręcz musi być atakowany za trzymanie się zbyt blisko dzieł tekstualnych i poruszanie raczej problemów interpretacji tekstualnej niż problemów politycznych, tudzież problemów bardziej ogólnej natury. Często różnica między Foucaultem a Derridą oraz próby uzgodnienia [ich stanowisk] koncentrują się właśnie na kwestii ścisłej lektury tekstów, tak że sukces tego ostatniego jest ambiwalentny, będąc również powodem krytyki. W nieco podobnych kategoriach dyskutuje się często nad relacją między Derridą a tym, co zwie się amerykańskim „derridyżmem lub derridianizmem”. Często mówi się – i jest to do pewnego stopnia prawdą – że wszystko, co zuchwałe, co rzeczywiście wywrotowe i zjadliwe w tekście Derridy i w jego dziele, usunięte zostaje poprzez jego akademizację, czynienie z niego kolejnej metody nauczania literatury. Rzeczywiście jest u Derridy element, który się temu poddaje, rzeczywiście znaleźć możemy u niego przykładowe sposoby lektury, świadomość na przykład retorycznej złożoności tekstu – to – co znajduje zastosowanie w dydaktyce, w pedagogice nauczania literatury. W tym sensie mamy do czynienia z czysto pedagogicznym wpływem jego pisarstwa. Jeśli o mnie chodzi, to często jestem traktowany jako osoba za to odpowiedzialna, albowiem moja praca jest w pewnym sensie bardziej ukierunkowana na dydaktykę i pedagogikę niż na filozofię. Punktem wyjścia dla niej było zawsze raczej pedagogiczne czy dydaktyczne czytanie konkretnych tekstów, a nie, jak w przypadku Derridy, presja ogólnych kwestii filozoficznych. Takie twierdzenie ma pewną zaletę, jeśli pominiemy fakt, że u Derridy nie jest możliwe oddzielenie klasycznego dydaktycznego, pedagogicznego elementu, który bezsprzecznie u niego występuje, od wywrotowego aspektu jego dzieła. W tym stopniu, w jakim Derrida para się tą klasyczną dyscypliną, jego wywrotowe działanie jest szczególnie efektywne, znacznie bardziej – jak sądzę – w jego przypadku, niż gdybyśmy wzięli pod uwagę kogoś takiego jak Foucault, bezpośrednio odnoszącego się do kwestii politycznych, nie biorącego pod uwagę prowadzących do nich złożoności tekstualnych, choć Foucault ma niemal intuicyjną ich świadomość ... Toteż osobiście nie mam wyrzutów sumienia, gdy mówi mi się, że moja praca, o ile jest dydaktyczna, o tyle jest akademicka, czy jest wręcz – co ma być najgorszą obelgą – jedynie zintensyfikowaną Nową Krytyką. Doskonale mi się z tym żyje, ponieważ uważam, że tylko to, co

tradycyjnie uznaje się za dydaktyczne, może stać się czymś rzeczywiście wywrotowym. To samo, jak myślę, stosuje się do Derridy, co nie oznacza, że nie ma istotnych różnic. Derrida czuje przymus mówienia więcej o instytucji uniwersytetu, ale to jest bardziej zrozumiałe w kontekście europejskim, gdzie uniwersytet ma tak dominującą funkcję kulturową, podczas gdy w Stanach Zjednoczonych nie ma on żadnej funkcji kulturowej, nie wpisuje się tu w prawdziwe napięcia kulturowe narodu...

Rosso: Czy może Pan powiedzieć coś więcej o różnicach między Pańską pracą a pracą Derridy?

de Man: Chyba nie mnie należy pytać, w czym tkwi ta różnica. Czuję, że pod wieloma względami blisko mi do Derridy, ale nie rozstrzygam jednak, czy moja praca przypomina jego pracę, czy też się od niej różni. Z początku zająłem się Derridą nie ze względu na mnie samego czy na Derridę, lecz ze względu na Rousseau – co, jak sądzę, jest charakterystyczne i ważne dla całej naszej relacji (o ile w ogóle się nad nią zastanawiam lub chcę się zastanawiać), która zawiązała się tuż po naszym pierwszym spotkaniu w Baltimore na kolokwium „Languages of Criticism and the Sciences of Man”. Czysty przypadek sprawił, że obaj pracowaliśmy nad Rousseau i głównie nad tym samym tekstem. To właśnie w związku z Rousseau zależało mi bardzo na określeniu, próbie wydobycia, nie tyle rozbieżności, co pewnych zmian akcentów między tym, co robi Derrida a tym, co robię ja sam. Coś o tej różnicy mogę powiedzieć, tyle że w bardzo szczególnym sensie – nie z przekory lub przez fałszywą skromność (choć gdy mówi się „nie z przekory”, to budzi się podejrzenie o jeszcze większe zaprzeczenie niż poprzednio... a więc nie można się wyrwać z tego zapętlenia) – mój punkt wyjścia, co jak sądzę już mówiłem, nie jest filozoficzny lecz zasadniczo filologiczny, a w konsekwencji dydaktyczny, zorientowany na tekst. W związku z tym mam tendencję do lokowania w tekstach nieusuwalnego autorytetu, silniejszego, jak sądzę, niż życzyłyby sobie dla nich Derrida. Przyjmuję jako hipotezę roboczą (jako hipotezę roboczą, bo aż nazbyt jestem o tym przekonany), że tekst w jakiś absolutny sposób *wie*, co robi. Wiem, że tak nie jest, ale jest to konieczna hipoteza robocza, iż Rousseau w każdej chwili *wie*, co robi, i w takim razie nie ma żadnej potrzeby dekonstruowania Rousseau. W złożony sposób obstawałbym raczej przy twierdzeniu, że „tekst dekonstruuje się sam, że jest samodekonstrukcyjny”, niż że dekonstruowany jest poprzez filozoficzną interwencję z zewnątrz tekstu. Różnica polega na tym, że tekst Derridy jest tak błyskotliwy, tak wyostrzony, tak mocny,

że cokolwiek się u Derridy wydarza, wydarza się pomiędzy nim a jego własnym tekstem. On nie potrzebuje Rousseau, nie potrzebuje kogokolwiek innego; ja ich potrzebuję, i to bardzo, ponieważ nigdy sam nie wpadłem na własny pomysł, pojawiał się on zawsze za pośrednictwem tekstu, dzięki krytycznemu badaniu tekstu... Jestem filologiem, a nie filozofem: myślę, że tu tkwi pewna różnica... A z drugiej strony, myślę, że interesujące jest patrzeć, jak te dwa różne podejścia czasami się zbiegają, w punkcie opisanym przez Gaschego w jego dwóch artykułach (stanowiących wraz z tekstem Godzicha z pewnością najlepszy komentarz na ten temat²), w których mówi, że Derrida i ja jesteśmy najbliżej, gdy nie używam jego terminologii, a najdalej, gdy używam takich terminów jak *dekonstrukcja*: zgadzam się z tym całkowicie. Ale też nie ja powinienem o tym rozstrzygać, nie roszczę sobie pretensji do takiej pozycji...

Rosso: Czy zgadza się Pan z Lentricchią, gdy w swej książce *After the New Criticism* mówi o silnym wpływie Sartre'a na Pańską pracę? I jakie było Pana pierwsze spotkanie z dziełem Heideggera?

de Man: Ujmując rzecz ściśle, Sartre był dla mnie – podobnie jak dla wszystkich ludzi mojego pokolenia, czyli ludzi dwudziestoletnich w momencie wybuchu wojny – bardzo ważny. U Sartre'a najbardziej interesowały mnie teksty krytyczno-literackie, które ukazały się w *Situations I*, a zwłaszcza tekst o Ponge'u, o Julesie Renardzie, w których Sartre wykonuje pracę ściśle [*close*] tekstualną i mówi o tekstach w sposób całkiem naoczas nowy. (Był jeszcze wcześniejszy artykuł Sartre'a wiążący się z punktem widzenia... atak na Flauberta). Bardzo dobrze pamiętam te artykuły i wywarły one na mnie duże wrażenie. Są one jednak artykułami porównywalnymi z – powiedzmy – Nową Krytyką. Są artykułami zbudowanymi w sposób bardzo formalny, technika ich budowy wymaga od czytelnika takiego sposobu obcowania z tekstem, którego Sartre później już nie rozwijał. Jednakże w owym czasie byłem też pod mocnym wpływem wszystkich tych, którzy ogólnie wywodzili się z tra-

² Paul de Man ma tu na myśli zapewne następujące teksty:

– Rodolphe Gasché, „Setzung’ and ‘Übersetzung’: Notes on Paul de Man”, *Diacritics* 11 (zima 1981), s. 36–57; przedrukowane jako rozdział pierwszy książki R. Gasché, *The Wild Card of Reading. On Paul de Man*, Harvard University Press 1998; idem, „*In-differentia philosophica*: de Man o Kancie, Heglu i Nietzschem” (w:) Paul de Man, *Ideologia estetyczna*, przeł. A. Przybyłowski, Gdańsk 2000, s. 303–344; Wład Godzich, „Caution! Reader at Work”, wstęp do: Paul de Man, *Blindness and Insight: Essays in the Rhetoric of Contemporary Criticism*, Minneapolis 1983 (wydanie 2, poszerzone) [przyp. tłum.].

dycji surrealizmu, zwłaszcza Bataille'a, Blanchota, a nawet takich krytyków, jak Bachelard, którzy pracowali w stylu bardzo różniącym się od Sartre'owskiego. A wobec delikatnej opozycji, która ujawniła się na przykład w debacie prowadzonej przez Sartre'a i Blanchota – i w szeroko czytanej i dyskutowanej książce Sartre'a *Czym jest literatura*, na którą Blanchot odpowiedział, pisząc *La littérature et le droit à la mort* – czułem się, jeśli można to tak prosto rzec, bardziej po stronie Blanchota niż Sartre'a. Toteż z pewnością nie byłem po prostu pod wpływem Sartre'a, należałoby tu obok nazwiska Sartre'a umieścić wiele innych nazwisk [osób, które odnosiły się do pewnych aspektów jego myśli] – było to zjawisko typowe dla mojego pokolenia.

Szczególnym przypadkiem był tu Heidegger, jego dzieło zaczęło do mnie docierać podczas wojny i tuż po niej, przede wszystkim dzięki monografii belgijskiego filozofa De Waelhensa, który opublikował wówczas książkę na jego temat. O ile dzieło Heideggera wywarło na mnie wpływ, to bezpośrednim źródłem tego wpływu nie był Sartre. Zawsze miałem poczucie, że sposób, w jaki Sartre korzysta z Heideggera, a także w mniejszym stopniu z Husserla, nie jest trafny, zaś przy okazji publikacji takich tekstów, jak ówczesnie bardzo dyskutowany Heideggerowski *List o humanizmie*, który w pewnym sensie był polemiką z Sartrem, bliższe było mi to, co mówił Heidegger. Toteż wydają mi się, że mówienie o jakimś szczególnym wpływie Sartre'a jest pewną przesadą... Jednakowoż Sartre – co powiedział mi o sobie nawet Derrida – dla wielu z nas był pierwszym spotkaniem z pewnym rodzajem języka filozoficznego, który nie był po prostu akademicki. Faktem jest, że Sartre napisał takie prace, jak *Wyobrażenie*, *L'être et le néant*, które były w swojej technicznej strukturze książkami filozoficznymi, przy czym pozostawał on w nich zarazem krytykiem literackim i kimś, kto wyraża zdecydowane opinie w kwestiach politycznych – było to coś na kształt mitologicznej dwugłowości rozszczępienia filozofa – coś, co bardzo nas przyciągało; nie sądzę, by ktokolwiek z mojego pokolenia mógł się temu oprzeć. Wszyscy chcieliśmy być jakoś do niego podobni: niemal całe życie zabiera mi uporanie się z tą koncepcją i przypuszczam, że atrakcyjność takich ludzi, jak Bataille, których stosunek do kwestii politycznych (albowiem byli oni nastawieni bardzo politycznie) był bardziej złożony, bardziej zapośredniczony niż w przypadku Sartre'a, pomagała oprzeć się ekstrawaganckiej obecności Sartre'a na arenie publicznej – Sartre'a i w mniejszym stopniu Camusa, ale zwłaszcza Sartre'a, o tyle, o ile był zarówno filozofem, jak i człowiekiem żywo zaangażowanym politycznie. Jednakże sądzę, że do

tej postaci dość szybko traci się część zaufania w związku z pewną oczywistą słabością Sartre'owskiego dzieła, zarówno jego części literackiej, jak i filozoficznej.

Rosso: W bibliografii Pańskich prac można dostrzec tendencję do pomijania literatury współczesnej: na przykład, nie wydaje się Pan być w ogóle zainteresowany dość modną debatą nad pojęciem „ponowoczesności”...

de Man: Trudność polega dla mnie na tym, że „podejście ponowoczesne” wydaje się nieco naiwnym podejściem historycznym. Już samo pojęcie nowoczesności jest bardzo wątpliwe; pojęcie ponowoczesności staje się jakąś parodią pojęcia nowoczesności. To tak jak z *Nouvelle Revue Française* i *Nouvelle Nouvelle Revue Française*, jak z Nową Krytyką i Nową Nową Krytyką. Próba definiowania ruchu literackiego w kategoriach narastającej nowoczesności (dzieje się tak również w pracach Hassana) jest niczym studnia bez dna. Uderza mnie to jako bardzo nienowoczesne, bardzo staromodne, konserwatywne pojęcie historii, w którym historiię postrzega się jako następstwo, tak że używany w tym momencie model historyczny jest bardzo wątpliwy i w pewnym sensie naiwny, bardzo uproszczony. Tyczy się to bardziej teoretyków literatury, którzy odczuwają potrzebę ustawienia swej pracy w jednym rzędzie ze współczesnymi dziełami fikcji, którzy są krytykami nieco onieśmielonymi wobec tak zwanych twórczych autorów i chcieliby pozostawać z nimi w harmonii. Jestem pewien, że coś takiego ma miejsce w Europie. Dla mnie model typu Blanchotowskiego pozostaje bardzo odkrywczy, ponieważ był on krytykiem, będąc również pisarzem; jako krytyka wcale nie interesowało go usprawiedliwianie siebie jako pisarza lub też jako pisarza nie interesował go on sam jako krytyk. Co interesujące, u niego nie pojawia się ta kwestia, nie dostrzegamy chęci określania się wobec czegoś twórczego, co jest tak nazwane ze względu na relację, w jakiej pozostaje ono wobec czegoś mu przeciwnego; bez żadnej trudności udaje się mu to połączyć w niektórych późnych tekstach. Nie ma tu żadnego poczucia niższości krytyka wobec pisarza. I ten model – częsty we Francji – który jest modelem obecnym u Mallarmégo, jest mi bliższy niż koncepcja krytyka, który chce się trochę, by tak rzec, „dochrapać” pewnej odkrywczej wolności, jaką może mieć pisarz. Nie wiem, czy obecnie odkrywczość pisarzy w Stanach, Francji czy gdziekolwiek indziej jest bliższa, czy podobna do tego, co jest dziełem teoretyków literatury. A mówiąc bardziej stanowczo, pytanie to nie interesuje mnie. Jeśli okaże się to podobne, *okay*, choć

z pewnością nie odbędzie się to – z pewnością ani w moim przypadku, ani, jak sądzę, w przypadku jakiegokolwiek teoretyka literatury na poziomie – poprzez próby wpasowania się lub uchwycenia tego, co dzieje się w tej chwili w tak zwanej twórczej fikcji przeciwstawianej krytyce. ... Czuję się w pełni komfortowo, pisząc o autorach osiemnasto- lub siedemnastowiecznych, i w ogóle nie odczuwam przymusu pisania o współczesnych. A z drugiej strony, w całej różnorodności współczesnych autorów niektórzy są mi bardzo bliscy, niektórzy zaś odlegli o miliony mil...

Rosso: A tak dla przykładu, wiele lat temu napisał pan artykuł o Borgesie...

de Man: Cóż, poproszono mnie o to... Z pewnością nie będę nigdy gotowy do pisania o Borgesie, z pewnością nie o fikcji Blanchota, ale jeśli pyta pan o współczesnych pisarzy francuskich... Mogę sobie wyobrazić siebie piszącego o Calvino, choć mogę się mylić...

Rosso: Może mógłby Pan teraz powiedzieć nam coś o książce, którą aktualnie pan pisze, i o wspomnianych na wykładach „tajemniczych” rozdziałach o Kierkegaardzie i Marksie oraz o częstym – co ostatnio zauważyliśmy – powracaniu terminów „ideologia” i „polityka”...

de Man: Nie wydaje mi się, bym kiedykolwiek odchodził od tych problemów, zawsze interesowały mnie w najwyższym stopniu. Zawsze podkreślałem, że do problemów ideologii, a szerzej, do problemów polityki, trzeba by podchodzić jedynie na podstawie analizy krytyczno-językowej, której dokonać trzeba w jej własnych kategoriach, w medium języka, i mam poczucie, że za problemy te mogę się zabrać tylko po uzyskaniu pewnej kontroli nad tymi kwestiami. To, co powiem, może wydać się pretensjonalne, ale nie o to tu chodzi. Mam poczucie, że zdobyłem pewną kontrolę nad technicznymi problemami języka, w szczególności nad problemami retoryki, relacji między tropami i performatywami, wysycenia tropologii jako pola, które w pewnych formach języka poza takie pole wykracza... Czuję, że władam zasobem słów i aparatem pojęciowym, które są w stanie podjąć temu zadaniu. Odczuwam teraz pewną kontrolę nad słownikiem i aparatem pojęciowym, który nad tym panuje. To przy pracy nad Rousseau poczułem się zdolny do przejścia od analizy czysto językowej do kwestii, które faktycznie mają już naturę polityczną i ideologiczną. Toteż obecnie czuję, że mogę to robić nieco bardziej otwarcie, choć w sposób bardzo odmienny od tego, co ogólnie uchodzi za „krytykę ideologii”. Prowadzi mnie to z powrotem do Adorna i prób czynionych

w tym kierunku w Niemczech, do pewnych aspektów u Heideggera. Mam poczucie, że zatem trzeba stanąć wobec trudności, które kryją w sobie pewne zdecydowanie polityczne teksty. Prowadzi mnie to też wciąż do problemów związanych z teologią i dyskursem religijnym, i to dlatego zestawienie Marksa oraz Kierkegaarda jako dwóch głównych czytelników Hegla jawi mi się jako kluczowe, jako problem, który trzeba w jakiś sposób rozwiązać. Nie rozwiązałem go i fakt, że wciąż mówię o tym, że zamierzam coś z tym zrobić, służy tylko temu, by siebie do tego zmusić, ponieważ, jeśli wciąż będę mówił o tym, że zamierzam to zrobić, i tego nie zrobię, to w końcu będzie to wyglądać głupio. Toteż muszę się trochę do tego zmobilizować, zarówno w przypadku Kierkegaarda, jak i w przypadku Marksa. Najpierw powinienem poczynić kroki przygotowawcze, co zmusza mnie do cofnięcia się do Hegla oraz Kanta, i mam nadzieję, że w tym nie ugrzęznę. Poczulem się zatem gotów powiedzieć coś o problemie ideologii, ale nie za sprawą żyłki polemicznej. Wcale nie zmusiło mnie do tego to, co mówi się na ten temat, co przewija się w książkach Jamesona lub innych autorów. Jak powiedziałem, zawsze był to główny interesujący mnie problem i teraz czuję, że nad owym problemem języka mam większą kontrolę. Co z tego wyniknie, nie wiem, bo nie pracuję w ten sposób. Co z tego wyniknie, to okaże się z tekstów Marksa i Kierkegaarda czytanych tak, jak według mnie czytane być powinny. A powinny być czytane z perspektywy analizy krytyczno-językowej, jakiej nie zostały one dotąd poddane. Niewiele jest takich rzeczy o Kierkegaardzie, a jeszcze mniej o Marksie, z wyjątkiem oczywiście pewnych elementów u Althussera, który – jak sądzę – idzie w tym kierunku. Sam zatem czekam, by zobaczyć, do czego to doprowadzi, i wiem na ten temat tyle samo, co wszyscy.

przełożył Artur Przybystawski